

**CZEGO  
NIE  
POWIEDZIAŁ  
GENERAL  
KISZCZAK**



**JAN WIDACKI**

**CZEGO  
NIE  
POWIEDZIAŁ  
GENERAL  
KISZCZAK**



**JAN WIDACKI**

Jan Widacki

# Czego nie powiedział generał Kiszczak

Polska Oficyna Wydawnicza BGW  
Z Janem Widackim rozmawia Wojciech Wróblewski

Saga

*Czego nie powiedział generał Kiszczak*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 1991, 2021 Jan Widacki i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726890198

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą  
Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

*„Generał wali wprost na was. Ani zboczy, po prostu sam się naprasza. Ordery mu błyszczą, cholewy świecą. Wy czujecie, że teraz mu zapłacicie za wszystko, że taki piękny generał już wam się drugi raz nie trafi”.*

S. Mrozek, „Policja”

## SŁOWO WSTĘPNE

Czekałem na tę książkę z rosnącym niepokojem od chwili ukazania się w końcu października 1991 r., a więc na miesiąc przed wyborami, publikacji pt. „Generał Kiszczak mówi ...prawie wszystko”. Niepokoił mnie brak jakiegokolwiek weryfikacji wypowiedzi, jakie były szef bezpieczeństwa złożył dwóm młodym dziennikarzom. Książka „Czego nie powiedział generał Kiszczak” jest pierwszą, raczej pośpieszną i fragmentaryczną, ale całkowicie wiarygodną próbą skonfrontowania wynurzeń Kiszczaka z niektórymi dokumentami, jakie ocalały w archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wyniki tej konfrontacji są druzgocące. Prowadzą do nieodpartego wniosku, że Kiszczak część prawdy ukrywa, a resztę przemilcza. Ukrywa i zaciera prawdę, że bezpieczeństwo była organizacją zbrodniczą.

Miliony ludzi poznało tę prawdę z własnych, tragicznych doświadczeń. Nikt nie zmierzy morza łez ludzkich, bezmiaru nieszczęść i krzywd zadanych przez aparat bezpieczeństwa własnemu społeczeństwu. Nikt nie policzy ludzi niewinnie zakatowanych i straconych, bezprawnie uwięzionych, torturowanych, prześladowanych i zniesławionych. A także tych, którym bezpieczeństwo odebrała szacunek wobec samych siebie zmuszając ich szantażem i terrorem do szpiegowania i donoszenia na współrodaków. Nikt nie policzy ludzi, którym partia i bezpieczeństwo zniszczyły życie zamykając im przez dyskryminację w nauce, pracy i w wykonywaniu zawodu drogę do zajęcia należnego miejsca w hierarchii społecznej. Świadectwem zbrodni bezpieczeństwa są

polskie katynie. Te masowe groby rozsiane po Polsce kryją szczątki ludzi najbardziej ofiarnych, którzy gotowi byli oddać swe życie w walce z wrogiem, a stracili je z ręki polskich katów ze Służby Bezpieczeństwa. Umarli są niemi, ale z tych zbiorowych grobów wołają do żyjących wielkim głosem o prawdę i sprawiedliwość. Prawdę i sprawiedliwość.

Książka prof. Jana Widackiego i Wojciecha Wróblewskiego odśłania zaledwie rąbek prawdy. Nie przywołuje świadków, lecz posługuje się wyłącznie dokumentami. Nie opisuje dziejów zbrodni od samych początków. Jej tematem jest tylko ostatni rozdział tych dziejów, którego autorem był generał Czesław Kiszczak. Nie porusza wypadków morderstw dokonanych w stanie wojennym, które są obecnie przedmiotem dochodzeń prokuratorskich i postępowania sądowego. Ujawnione w książce dokumenty pokazują natomiast, w jaki sposób generał Kiszczak kierował akcją zacierania śladów popełnionych zbrodni już za czasów rządu Mazowieckiego i w ostatnich miesiącach swego urzędowania. Odbywało się to nie tylko przez niszczenie dokumentów, ale także przez takie zmiany struktury samego resortu, które ukrywały dawne kierunki jego działania.

Przestępcza akcja niszczenia akt została przerwana dopiero w chwili objęcia resortu MSW przez Krzysztofa Kozłowskiego i jego najbliższego współpracownika, prof. Jana Widackiego.

Wiemy wszyscy, że безпеaka nie stała na straży bezpieczeństwa państwa i jego obywateli, lecz była głównym narzędziem wojny, jaką komunistyczne państwo prowadziło z własnym, całkowicie bezbronny społecznościami. Książka „Czego nie powiedział generał Kiszczak” ujawnia metody niszczenia przez bezpieczeństwo tzw. „wrogich sił”. Pojęcia tego nie definiowało żadne prawo.

Partia i безпеka były najwyższymi instancjami, które decydowały, kogo należy zaliczyć do „wrogich sił”. Mechanizm niszczenia „wrogich sił” polegał na centralnie planowanej dezinformacji i dezintegracji społeczeństwa oraz na „akcjach specjalnych”, które tylko niekiedy posuwały się do skrytobójstwa, a na co dzień niszczyły ludzi za pomocą fałszowania dokumentów i rozpowszechniania nieprawdziwych, dyskredytujących zarzutów i pogłosek. Czytelnik zapozna się z jednym wycinkiem tej przestępczej roboty, jakim były próby dezintegracji Kościoła, skłócenia i dyskredytowania księży i biskupów, przede wszystkim obu kardynałów: Wyszyńskiego i Wojtyły.

Z punktu widzenia obowiązującego prawa wszystkie te działania miały charakter przestępczy, a więc podlegający karom przewidzianym w kodeksie karnym. Toczy się obecnie spór o to, czy prawo ma być jednakowe dla wszystkich obywateli, czy też mają być spod niego wyjęci ludzie, którzy do niedawna zajmowali najwyższe stanowiska w państwie. Czy chrześcijański nakaz wybaczenia ma być równoznaczny z bezkarnością zbrodniarzy i przestępców? Czy darowanie kary na mocy amnestii, stosowane wobec ludzi sądownie skazanych, ma zastąpić uniewinnienie bez sądu? Czy możliwe jest stosowanie przedawnienia przestępstwa, jeśli władze uniemożliwiały ściganie przestępców? Czy praworządny wymiar sprawiedliwości przez niezawisłe sądy wolno utożsamiać z inkwizycją, polowaniem na czarownice albo maccartyzmem? Czy wreszcie, niewątpliwie w moim przekonaniu, zasługi Jaruzelskiego i Kiszczaka, którzy przyczynili się do bezkrwawego wyzwolenia kraju i powrotu do demokracji, mogą ich uwolnić od odpowiedzialności za wszystko inne?

Odpowiedzi na te pytania wykraczają poza ramy wstępu do tej książki. Ograniczę się do wyrażenia poglądu, że nie da się zamknąć przeszłości i naprawić moralnych

spustoszeń w ludzkich duszach, jakie ta przeszłość po sobie pozostawiła, bez pełnego ustalenia i ujawnienia prawdy. Nie odnajdziemy tej prawdy ani w dziennikarskich wywiadach, ani w parlamentarnej debacie. Prawdę może ustalić jedynie przewód sądowy z udziałem oskarżycieli, obrońców i oskarżonych w oparciu o zeznania świadków i cały dostępny materiał dowodowy. Obojętne, czy ta rozprawa ma się toczyć przed trybunałem stanu, czy przed jakąś komisją nadzwyczajną. Ważniejsze, by sędziami nie byli dziennikarze lub politycy, a więc ludzie związani z walką polityczną, lecz niezależni obywatele, którzy gwarantują swoją powagą pełną bezstronność i wiarygodność ich orzeczeń.

*JAN NOWAK — JEZIORAŃSKI*

## ZAMIAST WSTĘPU

To nie jest mój pamiętnik ani wspomnienia z okresu, gdy byłem wiceministrem spraw wewnętrznych RP. Nie jest to też historia ostatniej dekady MSW.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że mówię tu wszystko. Mówię — podobnie jak gen. Kiszczak — tylko prawie wszystko. Ale to, co mówię, mówię szczerze, i mówię tylko to, co wiem na pewno. Nie mówię o sobie i nie mam nie tylko powodu, ale nawet okazji, by próbować przedstawić się w lepszym świetle, bo nie przedstawiam się tu wcale. Do MSW przyszedłem z uniwersytetu, bo solidarnościowy rząd nie miał wówczas prawdopodobnie pod ręką lepszych specjalistów od policji i walki z przestępczością. Nigdy nie byłem urzędnikiem i nie chcę nim być.

Czas spędzony na Rakowieckiej był dla mnie ogromnym doświadczeniem życiowym, wielką przygodą i czasem najcięższej pracy, jaką dotąd w życiu wykonywałem. Poznałem tu ludzi wspaniałych, z których część przyszła wraz ze mną przeżyć swoją przygodę życia, a zarazem przeżyć radość tworzenia. Poznałem też wielu uczciwych i wartościowych ludzi ze starej ekipy. Wszyscy razem budowaliśmy nowe MSW. MSW wolnego, demokratycznego państwa.

Poznałem też wiele tajemnic tego dawnego MSW, a zwłaszcza tej jego części, która nosiła nazwę „Służby Bezpieczeństwa”. Przy okazji dane mi było poznać także granice ludzkiej wielkości i ludzkiego upodlenia. Przekonałem się, że świat nie jest czarno-biały, ale że ma on też wiele odcieni szarości. Mógłbym powiedzieć, że z

perspektywy ulicy Rakowieckiej poznałem tu człowieka w jego najpełniejszym wymiarze i spojrzałem na społeczeństwo z innej perspektywy. Poznałem też mechanizmy zniewalające ludzi i mechanizmy rozmywające odpowiedzialność. Mechanizmy wyzwalające zło i mechanizmy mobilizujące do wielkiego poświęcenia. Poznałem imperium MSW od środka.

Chciałbym kiedyś z dystansu przemyśleć te swoje doświadczenia i obserwacje i podzielić się nimi, opisując je w książce. Nie wiem, czy dane mi będzie napisać taką książkę. Ta książka, która leży przed Państwem, nie jest tą, o której myślę i którą kiedyś — mam nadzieję — napiszę jeszcze. Ta książka, którą macie w rękach, jest efektem swoistego falstartu. Jest reakcją — może pośpieszną i nerwową — na to, co gen. Kiszczak zechciał powiedzieć dwóm młodym dziennikarzom, a co złożyło się na książkę „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko”. Gen. Kiszczak nie musiał nic mówić. Jeśli jednak zdecydował się mówić, miał obowiązek mówić prawdę. Miał nawet szczególny obowiązek powiedzenia prawdy. Przez ostatnich 10 lat kierował MSW. To MSW i jego szef są temu społeczeństwu i temu narodowi coś winni. I oto szef MSW, kierujący nim ze wszystkich ministrów najdłużej, w tym przez cały stan wojenny, ów pierwszy policmajster PRL, zabrał po kilkunastu miesiącach milczenia głos. Zabrał go, jak się okazuje po to, aby na kilkuset stronach książki przekonywać czytelnika, że to wszystko, co było, było w zasadzie dobre i słuszne, a stan wojenny uratował Polskę przed nowymi rozbiorami. Z prawdziwym zdumieniem przeczytałem, że dla generała 10 lat walki z Kościołem i opozycją, walki z narodem, to było coś na kształt zawodów sportowych albo harcerskich podchodów, w których wszyscy się dobrze wybawili, aż im się znudziło, więc na koniec podziękowali sobie w Magdalence za tych 10 lat

wspólnej zabawy. Próbuje przekonywać i prawie przekonuje, że w tych podchodach, tej swoistej zabawie w policjantów i złodziei, obie strony, tj. „Solidarność” i Kościół czy — szerzej — „opozycja” i Kościół z jednej, a безпеka z drugiej, to były takie dwie w gruncie rzeczy nie różniące się między sobą drużyny, próbujące sobie wzajemnie strzelić piłkę do bramki stosując te same reguły gry. Zapewnia też, że Kościół i jego najwyżsi przedstawiciele cieszyli się jego szacunkiem, a wychowawczy wpływ Kościoła zawsze doceniał...

Jeśli funkcjonariusze MSW zrobili komuś jakąś krzywdę — np. zatłukli kogoś — to on o tym nic nie wiedział, podobnie jak na dobrą sprawę nie wiedział, czym naprawdę zajmuje się Departament IV, bo szczerze mówiąc, nigdy tam nie był...

Lektura książki „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko” przekonała mnie, że były minister spraw wewnętrznych niewiele zrozumiał z tego, co w Polsce naprawdę się działo i co ostatecznie się wydarzyło. W tych wynurzeniach nie ma śladu krytycznej refleksji. Na próżno by szukać choćby cienia poczucia winy. Nie ma nawet próby wytłumaczenia się, jest próba wybielenia. A to naprawdę nie to samo. Nie jest to dobra intencja. Jeszcze gorsza jest metoda. Każdy z nas fakty interpretuje subiektywnie. Ale jest przecież jakaś granica między subiektywizmem a zakłamaniem.

Zrządzeniem losu, w kilka dni po ukazaniu się książki Kiszczaka, w Sejmie opublikowano raport komisji Rokity. Raport będący jednym wielkim oskarżeniem resortu za działalność w okresie, kiedy kierował nim gen. Kiszczak. Dlatego zdecydowaliśmy się napisać tę książkę. Dopowiedzieć tę prawdę, którą gen. Kiszczak zataja lub przeinacza. Społeczeństwo ma prawo znać prawdę o MSW i

SB. Okresu 45 lat kłamstwa nie można już wydłużać.  
Wydłużać w nieskończoność.

Dowiaduję się też, że podobne książki piszą jeszcze inni generałowie MSW: Pudysz, Pożoga. Wydano już wspomnienia Szlachcica. Tak rośnie swoista mitologia. Któż po latach będzie wiedział, jak było naprawdę? Dlatego postanowiłem napisać i ja. Dopisać to, czego nie powiedział Kiszczak i czego nie powiedzą inni generałowie. Uważam, że jest to mój obowiązek.

Ja też nie powiem wszystkiego. Też powiem tylko „prawie wszystko”, ale od razu wyjaśnię, czego powiedzieć nie mogę. Nie ujawnię tego, co nadal ze względu na bezpieczeństwo państwa polskiego objęte jest tajemnicą. Nie ujawnię tego, co jest przedmiotem prowadzonych aktualnie śledztw — w tym gigantycznego, wielowątkowego śledztwa w sprawie zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki. Myślę, że już niedługo fakty objęte tajemnicą tego śledztwa zostaną ujawnione na publicznej rozprawie. Nie muszę więc tego robić ja. Mam jednak nadzieję, że mówiąc to, co dziś powiedzieć mogę, pokażę, czym MSW było naprawdę. Ujawnię jego sposoby działania i mechanizmy, które nim sterowały.

Mam nadzieję, że znajomość tych ujawnionych prawd o MSW choć trochę przyczyni się to tego, aby wypracować takie mechanizmy prawne i polityczne, które nie pozwolą na odrodzenie się czegoś podobnego w przyszłości. Przyczyni się do tego, że służby policyjne nie ulegną zwyrodnieniu, nie staną się z czasem państwem w państwie.

Dlatego po długich wahaniach zdecydowałem się, odpowiadając na zadane mi pytania, przedstawić MSW takim, jakim ono faktycznie było.

Nie jest moją intencją oskarżenie czy pognębienie kogokolwiek. Z tego powodu, gdzie tylko będę mógł, będę

unikał nazwisk. Chcę opowiedzieć o pewnym fenomenie i o siłach, które nim kierowały i które on wyzwalał. Nazwa tego fenomenu przez wiele lat brzmiała złowrogo: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

## ZMĘCZONY RESORT

*„Odbiorą wam mundur, dadzą  
jakąś sportową marynarkę,  
jakieś pumpy i hajda!  
Możecie sobie iść na łąki,  
nad wodę z wędką albo nawet  
ze strzelbą, proszę bardzo,  
zażywajcie sobie wczasów do  
woli! Możecie sobie wtedy  
aresztować zające i pliszki,  
o ile nie będzie to w czasie  
ochronnym”.*

S. Mrozek, „Policja”

**— Jeden z byłych pracowników stwierdził, że MSW to był „zmęczony resort i co rozsądniejsi wiedzieli, że ich czas już się skończył”. Jak Pan ocenia schyłkowy okres funkcjonowania MSW pod rządami Kiszczaka?**

— Rzeczywiście od początku 1990 r. zmęczenie resortu było widoczne. Ale pierwsze objawy niepokoju pojawiły się dużo wcześniej.

Początkowo, po „okrągłym stole”, który dla znacznej części aparatu bezpieczeństwa był szokiem, jeszcze mieli nadzieję, że wszystko wróci do normy. Kierownictwo — a zwłaszcza sam najgłówniejszy szef — uważało, że kontroluje następujące przemiany. Dla nich szokiem był dopiero wynik wyborów. Na wynik ten MSW zareagowało po swoim. Oczywiście na zewnątrz było trochę gestów.

Lityński w gmachu Sejmu na widok wchodzącego Kiszczaka i święty powiedział dowcipnie: „Przedstawiciele narodu witają w swojej siedzibie przedstawiciele władz”. Kiszczak prosił przedstawicieli Kościoła o Spotkanie i mediacje w rozmowach z opozycją. Tymczasem I zastępca ministra spraw wewnętrznych, gen. Dankowski, rozsyłał do wszystkich szefów wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych owo sławne, kolportowane później w Sejmie i prasie pismo domagające się wyszukania, którzy z nowo wybranych posłów i senatorów są lub byli tajnymi współpracownikami SB. Jeszcze Departament IV domagał się od swych wojewódzkich wydziałów IV oceny wpływów duchowieństwa na przebieg wyborów. Jak widać, resort nie kapitulował.

Postanowiono też szybko pozmienić strukturę resortu, aby trochę pozacierać ślady, poukrywać skompromitowane pionki, komórki, a nawet poszczególnych ludzi. Na zewnątrz miało to zapewne czynić wrażenie, że resort reformuje się sam i nie jest tu potrzebna żadna ingerencja z zewnątrz. Był tu jednak jeden szkopuł. Zgodnie z ustawą z 1983 r. o urzędzie ministra spraw wewnętrznych, strukturę MSW określała Rada Ministrów. Jakoż uczyniła to tajną uchwałą nr 144 z dnia 21 października 1983 r. Teraz okazało się, że „swoja” Rada Ministrów kończy już żywot, a oddawanie zmiany struktury MSW w ręce nowego rządu z solidarnościowym premierem uznano za rzecz nad wyraz niebezpieczną. Czasu było mało. Rzec rozwiązano następująco: stara Rada Ministrów przyjęła 22 sierpnia 1989 r. uchwałę nr 128, która upoważniła ministra spraw wewnętrznych do łączenia, likwidowania lub przekształcania jednostek organizacyjnych resortu, wymienionych w statucie. Krótko mówiąc, Rada Ministrów w ostatniej niemal chwili przekazała swe uprawnienia ministrowi spraw wewnętrznych. Dzięki temu zabiegowi

reorganizacja MSW stała się jego wewnętrzną sprawą i można ją było przeprowadzić nie wtajemniczając nowego rządu, z premierem Mazowieckim, w szczególności.

Przy podziale tek ministerialnych w nowym rządzie MSW, podobnie jak MON, transport i komunikacja oraz współpraca gospodarcza z zagranicą pozostały w rękach PZPR. Gen. Kiszczak pozostał nadal ministrem, został nadto jednym z 4 wicepremierów.

Rakowiecka złapała głębszy oddech.

### **— Jak wyglądała struktura MSW w latach osiemdziesiątych?**

— Jak wspomniałem, strukturę resortu zgodnie z ustawą z 1983 r. określała Rada Ministrów w formie tajnej uchwały. Uchwała ta określała służby i jednostki organizacyjne.

Służby były następujące:

1. A. Bezpieczeństwa;  
B. Wywiadu i Kontrwywiadu;  
C. Milicji Obywatelskiej;  
D. Wojsk MSW;  
E. Polityczno-Wychowawcza;  
F. Kadr i Doskonalenia Zawodowego;  
G. Zabezpieczenia Operacyjnego;  
H. Zabezpieczenia Materiałowego.

Jednostek organizacyjnych było ponad 40, w tym departamenty I, II, III, IV, V, VI, dalej Zarząd Polityczno-Wychowawczy, Biuro Śledcze, Departament Techniki, biura A, B, C, W, BOR. To wszystko stanowiło szeroko pojętą bezpieczeńkę. Następne kilka biur, tj. Prewencji, Ruchu Drogowego, Kryminalne, Dochodzeniowo-Śledcze, do Walki z Przestępczością Gospodarczą — to biura milicyjne. Milicja nie była na dobrą sprawę ani formalnie, ani faktycznie wyodrębniona w ramach MSW. Była co prawda jedną z 8

służb, ale żaden akt prawny nie określał, co to jest „służba”, jakie są kompetencje szefa służby, który tu tradycyjnie i tylko zwyczajowo nosił tytuł „komendanta głównego”. Ustawa o urzędzie ministra spraw wewnętrznych z 1983 r. nie wymieniała ani komendanta głównego MO, ani Komendy Głównej. Ten brak określenia dotyczył nie tylko milicji, ale także wszystkich pozostałych służb. W praktyce wszystko to, co nie było milicją, było bezpieczeństwem, a cały podział silnie scentralizowanego i hierarchicznie zbudowanego resortu na służby nie miał żadnego praktycznego znaczenia. Komentowano to w ten sposób, że chodziło raczej o ustanowienie nowych stanowisk szefów służb i ich zastępców. Było to dalsze rozbudowanie hierarchii. Wbudowano dwa nowe jej szczeble między wiceministrem a dyrektorem departamentu. Był to klasyczny przykład rozrostu biurokracji, dokonującego się według zasad opisanych przez Parkinsona.

**— Powszechnie dziś już wiadomo, że Departament I to departament wywiadu, Departament II to departament kontrwywiadu. Wiadomo, że „trójka” zajmowała się inwigilowaniem środowisk twórczych i inteligencji („nadbudowy” — jak to określano w esbeckim żargonie). Wiadomo, że Departament IV zajmował się Kościołem, zaś Biuro C prowadziło różnego rodzaju kartoteki i registratury oraz gromadziło archiwa. Co kryło się pod pozostałymi kryptonimami, zwłaszcza tymi literowymi?**

— Biuro A zajmowało się szyframi, Biuro B obserwacją, zaś Biuro W przeglądaniem korespondencji. Departament V wydzielił się na początku lat osiemdziesiątych z Departamentu III i zajmował się „przemysłem”, czyli praktycznie środowiskami robotniczymi, albo — jak ktoś

woli terminologię marksistowską — klasą robotniczą i jej „niesłusznymi poglądami” oraz nielegalnymi organizacjami. Nieco później z Departamentu IV wydzielono tzw. wydziały rolne (zajmujące się rolnikami, tak jak „piątka” robotnikami) tworząc Departament VI. Od tego czasu „czwórka” zajmowała się już tylko Kościołem rzymskokatolickim i innymi wyznaniem i przy okazji środowiskami katolików świeckich.

**— Kto montował te wszystkie podsłuchy, podglądy itp.?**

— Tym zajmował się Departament Techniki, zwany czasem w skrócie „T”. Czynił to nie ze swej inicjatywy, ale na zamówienie tzw. departamentów czy biur „merytorycznych”. Jest to cały odrębny temat, do którego jeszcze wrócimy przy innej okazji. Na szczególną uwagę zasługuje Biuro Studiów...

**— No, właśnie, w kręgach opozycji szczególnie złą sławą cieszyło się tzw. Biuro Studiów i Analiz. Gen. Kiszczak zapytany o to, czym zajmowało się owo biuro, odpowiedział, że „rozpracowywaniem i infiltrowaniem kierownictwa podziemia”. Dodał też, że miało ono kilka swoich odpowiedników, ale nie w każdym województwie. Czy nie zechciałby Pan powiedzieć coś więcej na ten temat?**

— Oczywiście, Biuro Studiów Służby Bezpieczeństwa MSW, bo taka była jego pełna nazwa, zostało utworzone przez gen. Kiszczaka w czerwcu 1982 r. Było ono odpowiedzialne za „wypracowywanie strategii, taktyki, a także form i metod działania wobec grup i osób naruszających prawo lub podejmujących próby organizowania szkodliwych społecznie procesów i tendencji”. Celem działań Biura

Studiów było „zapobieganie i udaremnianie działalności godzącej w podstawy ustroju PRL”. Miało ono także koordynować i inicjować działania innych jednostek organizacyjnych MSW, w szczególności departamentów III i IV i ich terenowych odpowiedników „udaremniając” działalność opozycji. Do zadań biura należało też eksperymentowanie z nowymi formami i metodami działań operacyjnych, a następnie upowszechnianie tych nowych, przetestowanych form i metod.

**– Jakiego rodzaju metody stosowało Biuro Studiów? Jakie metody doskonaliło?**

– Doprowadziło do perfekcji metody stosowane w SB od dawna: dezinformację, dezintegrację (mniej fachowo, ale trafniej zwaną prowokacją), działania specjalne. Prowadziło ono także bieżącą analizę informacji.

**– Zapytany o sukcesy Biura Studiów, gen. Kiszczak odpowiedział tajemniczo: „sporo sukcesów, nie do opowiedzenia”. Czy nie zechciałby Pan tego skomentować?**

– Proszę bardzo. Parę linijek niżej generał wyjaśnił przyczyny swej tajemniczości, zadając retoryczne pytania: „Czy myślicie, że ludzie będą chcieli mówić, że kiedyś gonili tych, którzy dziś są na świeczniku?” Myślę, że to wyjaśnia sprawę. Jeśli ci, których działalność miała być udaremniona przez Biuro Studiów, są dziś na świeczniku, to widać, że pytanie o sukcesy tego biura jest bezprzedmiotowe. Ale poważnie. Mieli cały szereg drobnych sukcesów: a to ujęli kogoś ukrywającego się, a to zlikwidowali jakąś drukarnię, a to znów po zastosowaniu wymyślnych działań, napisaniu szeregu anonimów i rozpuszczeniu jakichś tam plotek udało się im poróżnić dwóch działaczy opozycji albo doprowadzać

do wyrzucenia kogoś z pracy. A to udało się kogoś uprowadzić, pobić i zwalić na nieznanymi sprawców. Nie wiem, czy te różnej skali łajdactwa i świństwka, a czasem nawet ewidentne przestępstwa poważny generał broni zaliczyć jest skłonny do sukcesów. Jeśli tak, niech mu będzie. Każdy ma swoją skalę sukcesu. Ostatecznie przegrali, a ci, których mieli ścigać, których działalność mieli udaremnić, znaleźli się na świeczniku. To chyba jednak im nie wyszło. I co tu mówić o sukcesie?

**— Ilu ludzi zatrudnionych było w Biurze Studiów? Jak wyglądała struktura MSW po zmianach w lecie 1989 r.?**

— Jak wspomniałem, ustępująca Rada Ministrów zdażyła jeszcze przekazać swoje kompetencje w tym zakresie ministrowi spraw wewnętrznych. Było to zresztą — w moim przekonaniu — naruszeniem prawa, bowiem ustawa z 1983 r. wyraźnie mówiła, że strukturę MSW określa Rada Ministrów, a nie z jej upoważnienia minister spraw wewnętrznych. Wszystko jedno. W dwa dni po otrzymaniu tego upoważnienia, 24 czerwca 1989 r., minister spraw wewnętrznych zarządzeniem nr 075/89 dotychczasowe departamenty III, IV, V, VI oraz osławione Biuro Studiów i Główny Inspektorat Ochrony Przemysłu przekształcił w trzy nowe departamenty: Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa, Ochrony Gospodarki oraz Studiów i Analiz. Ten ostatni departament powstał z połączenia Departamentu IV i Biura Studiów i Analiz. Dyrektorem tego departamentu został dotychczasowy dyrektor „czwórki” gen. Szczygieł. W tym kształcie MSW działało aż do reformy, której pierwszym etapem było uchwalenie przez Sejm w dniu 6 kwietnia 1990 r. pakietu tzw. ustaw policyjnych.

**— A co stało się z pionem polityczno-wychowawczym?**

— Cała historia tego pionu zasługuje na odrębną opowieść! W tym miejscu powiem tylko tyle, że przetrwał on tę pierwszą reorganizację resortu z lata 1989 r. Dopiero powołanie pierwszego po wojnie niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego przyniosło mu kres. To właśnie premier Mazowiecki 22 listopada 1989 r. odwołał ze stanowiska podsekretarza stanu w MSW szefa Służby Polityczno-Wychowawczej, Czesława Staszczaka, „w związku z likwidacją kierowanej przez niego służby”.

**— Jak ocenia Pan tę zrobioną pośpiesznie reorganizację MSW? Jaki był jej cel?**

— Chodziło wyłącznie o efekt propagandowy, przy okazji o zaciemnienie struktury i swoiste zatarcie śladów. Sądzę, że gen. Kiszczak i jego otoczenie zdawali sobie sprawę, że w nowej sytuacji kraju, po wyborach w czerwcu 1989 r., nie da się utrzymać MSW w starym kształcie. Oczywiście było, że będzie silna presja zarówno społeczna, jak i rządu Mazowieckiego czy Sejmu, aby MSW zreformować. Woleli to zrobić sami, bo pozwalało to im na utrzymanie inicjatywy i dokonanie nieznacznych tylko korekt...

**— To zrozumiałe. Ale powiedział Pan, że przy okazji chcieli „zaciemnić strukturę” i „pozacierać ślady”. Co Pan przez to rozumie?**

— Można było ogłosić, że oto likwiduje się złowieszczy Departament IV, o którym wszyscy wiedzieli, czym się zajmuje i jakimi metodami działa. Któż mógł się domyślać, że departament ten wraz z Biurem Studiów, czyli komórką także o nazwie ukrywającej jej istotne zadania, bo zajmującą się ściganiem i inwigilowaniem czołowych

działaczy opozycji, kryje się teraz pod niewinną nazwą „Departament Studiów i Analiz”?

— **Ale zacieranie śladów dokonywało się także, a może przede wszystkim poprzez niszczenie dokumentacji...**

— Tak, i tej działalności usiłowano nadać pozory działalności planowej i zgodnej z prawem. Na przykład gen. Szczygieł, ówczesny szef Departamentu IV, już 1 września 1989 r. rozesłał do wszystkich województw polecenie komisijnego zniszczenia dokumentacji prowadzonej dotąd przez Wydział IV i przesłanie protokołów tych zniszczeń do centrali. Polecenie to uzasadniał tym, że wszystkie dotychczasowe zarządzenia dotyczące prowadzenia pracy operacyjnej, ewidencji i dokumentacji w pionie „czwórki”, wydane na przestrzeni lat przez ministra spraw wewnętrznych i dyrektora Departamentu IV, zostały anulowane na mocy obwieszczenia ministra spraw Wewnętrznych z 17 lutego 1989 r. Konsekwencją anulowania omawianych przepisów, zdaniem gen. Szczygła, jest „odstąpienie od zakładania i prowadzenia teczek, które powinny być protokolarnie zniszczone (łącznie ze złożonymi do archiwum)”. Dziwne jest w tym wszystkim materii pomieszanie. Z tego pisma gen. Szczygła wynikałoby, że od 17 lutego do 1 września 1989 r. wspomniane teczki były już nielegalnie zakładane i prowadzone. Tak by było, gdyby wspomniane obwieszczenie ministra spraw wewnętrznych z 17 lutego faktycznie anulowało zarządzenia dotyczące „czwórki”. Tak jednak nie było i gen. Szczygieł wiedział o tym doskonale. Obwieszczenie, na które się powołał, było jednym z typowych, ukazujących się co jakiś czas obwieszczeń ministra, zawierających wykaz obowiązujących w resorcie aktów prawnych. Liczba tych aktów — zarządzeń samoistnych ministra, zarządzeń

dyrektorów poszczególnych departamentów, szefów służb — szła w setki. Co jakiś czas sporządzano ich aktualny wykaz i jako załącznik do obwieszczenia ministra publikowano w Dzienniku Urzędowym MSW. Przepisy nie objęte wykazami uznawano za nieobowiązujące. Rzecz w tym, że ów załącznik wymieniał „obowiązujące resortowe akty prawne ogłoszone w Dzienniku Urzędowym MSW i w «Monitorze Polskim»”. Były to więc tylko jawne akty prawne. Natomiast wykazy obowiązujących aktów tajnych i poufnych miały być — wedle tego obwieszczenia — sporządzone przez dyrektorów departamentów (i równorzędnych komórek) i rozesłane do zainteresowanych jednostek do dnia 30 września 1989 r. Jednak zanim zadanie to wykonano, jeszcze przed 30 września, trzeba było przystąpić do zacierania śladów. Stąd powołanie się przez gen. Szczygła na fikcję. Owo zalecenie niszczenia dokumentacji gen. Szczygieł jako dyrektor Departamentu IV MSW podpisał — jak wspomniałem — 1 września 1989 r. Aby było ciekawiej, od tygodnia, bo od 24 sierpnia... nie było już Departamentu IV.

### **— Chciałoby się zapytać, czy w tym szaleństwie była metoda?**

— Myślę, że nałożyło się tu na siebie wiele spraw. Pośpiech w zacieraniu śladówi wywołany nim bałagan, chęć utrzymania pozorów legalności działania, a przynajmniej zgodności tego działania z przepisami wewnątrzresortowymi (co do których legalności w sensie przyjętym w cywilizowanych krajach można zresztą mieć wątpliwości). Do tego dochodziła biurokratyczna, urzędnicza szampa... Przy okazji wszystko to stwarzało obiektywnie sytuację, że dziś rekonstrukcja tego mechanizmu, procesów decyzyjnych, dynamiki struktur, a w

konsekwencji ocena odpowiedzialności poszczególnych osob jest bardzo utrudniona. W kilka dni po rozesłaniu przez gen. Szczygła do wszystkich WUSW zalecenia likwidowania dokumentacji, dokładnie 5 września, jego zastępca płk Mirowski w trakcie telekonferencji dla naczelników wydziałów IV przekazał im „uwagi dotyczące praktycznej konsekwencji anulowania zarządzeń i wytycznych, o których mówił gen. Szczygieł”. Zastępca dyrektora nie istniejącego już formalnie od blisko 2 tygodni departamentu polecił swym naczelnikom w terenie, aby przed likwidacją dokumentacji dokonali jej przeglądu i oceny, a także dokonali oceny wszystkich spraw operacyjnych aktualnie prowadzonych „pod kątem zasadności ich dalszego prowadzenia, uwzględniając aktualną sytuację polityczno-społeczną”.

Te sprawy, które ich zdaniem kwalifikują się do dalszego prowadzenia, należało „odchudzić” wyłączając z nich dokumenty z podsłuchu, z przeglądu korespondencji i „inne nie odpowiadające celom w obecnej sytuacji”. Płk Mirowski podkreślił, że odnosi się to „**wszczególności do działań «D»!**

Machina ruszyła.

**— Wszystko to, co dotychczas Pan powiedział, opiera się na dokumentach bądź relacjach ludzi. Czy miał Pan możliwość bezpośredniego obserwowania zmian kondycji resortu na przestrzeni lat 1989 — 1990? Czy ma Pan jakieś własne obserwacje?**

— W jesieni 1989 r. wraz z grupą przyjaciół i kolegów zaproponowaliśmy Społecznej Radzie Legislacyjnej przy NSZZ „Solidarność” podjęcie prac nad projektem nowelizacji ustawy o urzędzie ministra spraw wewnętrznych z 1983 r. ...

**— Czy naprawdę chcieliście tę ustawę nowelizować? Przecież od razu wiadomo było, że jest to akt zasługujący na całkowite uchylene...**

— Zgoda, ale w jesieni 1989 r. nie mieliśmy jeszcze gotowej koncepcji policji i służb specjalnych, nie byliśmy gotowi do pisania nowych ustaw policyjnych. Jedno dla nas było pewne — bez natychmiastowej nowelizacji ustawy z 1983 r. rodząca się polska demokracja będzie w niebezpieczeństwie. Reforma MSW, choćby tylko częściowa, ale rzeczywista, wymagała natychmiastowych zmian w ustawie. Chcieliśmy w pierwszym rządzie oddzielić MO od SB. Po tej doraźnej, jak zakładaliśmy, nowelizacji trzeba będzie przygotować całkowicie nowe ustawy, dostosowane do nowych warunków.

**— Mówiąc o tych poczynaniach używa Pan liczby mnogiej. Kogo ma Pan na myśli, mówiąc „my”?**

— W znaczeniu szerszym, mam tu na myśli stronę „solidarnościową”. W znaczeniu węższym, wspomnianych przyjaciół i kolegów. W przedsięwzięciu tym od samego początku pomagał mi mój uniwersytecki kolega z katedry kryminalistyki, Jerzy Konieczny, był też ówczesny radca prawny Aleksander Herzog. Na nasze spotkania do Krakowa przyjeżdżał również z Piekar Śląskich kpt. Roman Hula, przychodził sekretarz społecznego Centrum Inicjatyw Ustawodawczych, Kazimierz Barczyk... Współdziałaliśmy ściśle z OKP, z ramienia którego kontaktował się z nami poseł Rokita. Nasze prace nad nowelizacją, a później kodyfikacją prawa policyjnego zmobilizowały też MSW, które aby nas przelicytować, węż własnym zakresie zaczęło pracować nad projektami nowych ustaw. Wówczas widać było, że nowelizacja już nie wystarcza, trzeba przyspieszyć

prace nad naszymi projektami nowych ustaw. Koniec końców do Sejmu wpłynął najpierw projekt poselski ustaw policyjnych, a potem rządowy. Komisja, a później podkomisja sejmowa (której przewodniczył pos. Zimowski) z tych dwóch projektów zrobiła jeden...

**— O ile wiem, projekt poselski, podpisany przez 15 posłów zOKP, był Pańskim projektem autorskim.**

— Tak, to prawda. Wykorzystałem jednak materiał opracowany przez całą naszą komisję. Zresztą, jak mówiłem, z projektu poselskiego i rządowego zrobiono jeden. Ale nie w tym rzecz. W związku z tymi pracami, wystąpiłem, gdzieś na początku grudnia 1989 r., na posiedzeniu sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych. Przybyła też na to posiedzenie silna reprezentacja MSW z wiceministrem Pudyszem, zastępcą komendanta głównego MO gen. Nowickim, no i oczywiście z pos. Karpaczem, ówczesnym szefem SB, na czele. Pamiętam, że cała ta ekipa trzymała się bardzo butnie, mając, jak się zdaje, nadmierne zaufanie do swej kompetencji i traktując ignorancję posłów w sprawach policyjnych jako swój podstawowy atut. Trzeba pamiętać, że PZPR jeszcze istniała, komuniści rządząli jeszcze we wszystkich krajach ościennych, a szefem MSW był bądź co bądź jeszcze Kiszczak. To był właśnie ten krótki okres, kiedy Rakowiecka chwyciła głębszy oddech.

Omawiając założenia projektów nowych ustaw policyjnych mówiłem o koniecznej apolityczności policji. Proponowaliśmy, aby do ustawy wprowadzić zakaz działalności politycznej funkcjonariuszy oraz aby ewentualne członkostwo w partii funkcjonariuszy uległo na czas służby zawieszeniu. Mieliśmy świadomość, że ponad 90% stopięćdziesięciotysięcznego aparatu MSW należy do

PZPR. Dodaliśmy, że ustawa musi określać, co rozumie przez „zawieszenie członkostwa”, że w czasie „zawieszenia” nie obowiązuje w szczególności dyscyplina partyjna. Pudysz, Karpacz i inni ostro polemizujący z nami w innych punktach, tu w zasadzie nie oponowali. Posłowie też nie naciskali zbyt mocno na przedstawicieli MSW. Jeszcze czuło się jakąś niepewność, obie strony rozpoznawały swoje siły, nasi przeciwnicy jeszcze czuli się mocni.

Ówczesną atmosferę charakteryzuje takie drobne zdarzenie: wówczas, po raz pierwszy chyba na forum komisji padła nazwa Urzędu Ochrony Państwa. Przy wyjściu z sali do szefa SB Karpacza podszedł któryś z jego towarzyszy i powiedział: „Dobra, będziesz szefem Urzędu Ochrony Państwa”. Dla nich wtedy było to oczywiste!

\* \* \*

Na posiedzeniu kierownictwa resortu w dniu 15 grudnia 1989 r. dyskutowano również zagadnienie nowych ustaw. Oto zapis z protokołu tego posiedzenia <sup>1</sup> :

**Gen. bryg. Zbigniew Pudysz** poinformował, że koncepcja przyszłej struktury resortu spraw wewnętrznych, jaką my przyjęliśmy, wydaje się słuszna. Jednak prace nad naszą ustawą prowadzi się również w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie skierowano sprawę na wniosek Posła Rokity.

**Gen. dyw. Henryk Dankowski** powiedział, że trzeba zdecydować, czy resort powinien występować z inicjatywą przy tworzeniu ustaw o urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych oraz o Ochronie Bezpieczeństwa Państwa, czy też lepiej będzie; jeśli zaczekamy do czasu wystąpienia z propozycjami Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

W toku dyskusji wszyscy członkowie kierownictwa opowiedzieli się za utrzymaniem inicjatywy resortu spraw wewnętrznych i nadaniem sprawie ustaw jak najszybszego biegu.

**Płk Jerzy Karpacz** dodał, że opinię swą opiera o własne rozeznanie, jakie posiada z tytułu uczestnictwa w posiedzeniach sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych. Uważa, że w notatce dotyczącej projektów ustaw należy mocniej zaakcentować niemożliwość całkowitego rozłączenia Służby Bezpieczeństwa od Policji Państwowej, wskazując na czynniki kadrowe i finansowe.

**Płk Czesław Żmuda** stwierdził, że zmierzając do całkowitego oddzielenia Służby Bezpieczeństwa od Policji, „Solidarność” dąży do osłabienia resortu spraw wewnętrznych. Dlatego też przygotowywane przez nas dokumenty winny być dobrze opracowane, jeśli chcemy przeforsować nasze propozycje. Bardzo istotna jest argumentacja. Pokazując koszty, jakie należałoby ponieść przy rozłączeniu, trzeba powiedzieć o budynkach, urządzeniach, łączności itd.

**Gen. bryg. Stanisław Konieczny** powiedział, że w tej chwili jesteśmy najlepiej zorganizowanym aparatem w Polsce. Przy rozdzielaniu wyłoni się wiele trudnych problemów. Trzeba pamiętać, że budowa centrali telefonicznej trwa 4 lata. Dlatego trzeba dążyć do tego, aby jak najdłużej utrzymać jedną służbę logistyczną. Wyraził pogląd, iż jest przeciwny odłączeniu departamentów I i II od Służby Bezpieczeństwa.

**Gen. dyw. Zenon Trzcіński** stwierdził, że projekt ustawy o urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych pobudza do dyskusji. Uważam, że nie należy bać się dezintegracji i Służbę Bezpieczeństwa można oddzielić od Policji, wystarczy zapis w ustawie o współpracy pomiędzy tymi służbami. Przepisy dotyczące Służby Bezpieczeństwa i Policji niekoniecznie muszą się znajdować w jednym akcie prawnym. Można w jednej ustawie zawrzeć przepisy dotyczące ochrony bezpieczeństwa państwa, a w drugiej dotyczące ochrony porządku publicznego. Uważa, że ustawa o urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych i zakresie działania podległych mu organów z dnia 14 lipca 1983 r. przewiduje oddzielenie Milicji Obywatelskiej od Służby Bezpieczeństwa.

**Gen. bryg. Zbigniew Pudysz** oświadczył, że opracowując projekt ustawy o urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych wzorowano się na dokumentach tego typu sporządzonych w innych resortach i nasza ustawa nie odbiega od nich. Natomiast jeśli chodzi o ustawę o Ochronie Bezpieczeństwa Państwa, to jej autorzy wyszli z założenia, że Służba Bezpieczeństwa i Służba Milicji są z sobą tak integralnie związane, iż oddzielna ustawa o Ochronie Porządku Publicznego byłaby tworem sztucznym. Mówca nie podzielił również poglądu gen. Trzcńskiego, że ustawa o urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych i zakresie działania podległych mu organów z 1983 r. przewiduje rozdzielenie Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

**Decyzja** — gen. bryg. Zbigniew Pudysz oraz płk Jerzy Karpacz opracują notatkę dotyczącą projektów obu aktów prawnych, która wraz z projektami tych ustaw zostanie przedłożona prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej, gen. armii Wojciechowi Jaruzelskiemu. Jeśli będzie akceptacja prezydenta RP na nasze propozycje, sprawa zostanie skierowana do Komitetu Obrony Kraju.

\* \* \*

### **— Kiedy ten względnie dobry nastrój ówczesnego kierownictwa MSW się załamał?**

— Ten, jak Pan trafnie to określa, „względnie dobry nastrój” pogarszał się z posiedzenia na posiedzenie. Upadek komunizmu w Czechosłowacji i NRD, sytuacja w ZSRR, wreszcie rozwiązanie PZPR nie pozostawiały już złudzeń nawet najgłupszym i najbardziej optymistycznie nastawionym esbekom. Wielu z nich uświadomiło sobie, że oto nieodwracalnie nadchodzi koniec. Myślę, że nawet najbardziej zagorzali i, jak powiedziałem, najgłupszy, nie mieli już żadnych złudzeń. Zaczęło się myślenie o sobie. Dokonywano rachunków sumień i kalkulacji. Ci, którzy mieli uprawnienia emerytalne (a w MSW nabywa się je dość szybko), zaczęli uciekać. Część łudziła się nadzieją, że